

Razu pewnego, w mdłym, przemysłowym Londynie,

Chodził sobie biedny chłopiec o smutnej minie.

Nie miał pieniędzy, nie miał domu i rodziców;

Częstokroć popychany przez arystokratów.

Jedyne, co miał, to zapalniczka stalowa,

Która, jeśli pełna, ogrzać była gotowa.

Chłopiec napelniał ją w zakładzie przemysłowym,

Gdzie nadmiar ropy naftowej nie był czymś nowym.

Robotnicy rzucali mu resztki śniadania.

Nad rzeką, przy kanale, miał kącik do spania.

Tak traktowano dzieci w brytyjskim królestwie.

Były częstym tematem w ówczesnym hejterstwie.

To ja byłem tym biednym, zmarzniętym chłopakiem,

Rozglądającym się w rynsztoku za przysmakiem.

Pochodziłem ze wsi, byłem zwykłą miernotą.

W rzeczywistości nie byłem wcale sierotą.

Moja matka mieszkała z córką pod Londynem,

A ja do jego centrum zebrać przychodziłem.

Co tydzień, w sobotę, z gotówką się stawiałem.

Jeśli było jej mało – lanie dostawiałem.

Musieliśmy kupować leki dla mej siostry,

Która od dawna chorowała na suchoty.

Zbliżał się już jarmark bożonarodzeniowy.
Przyszła zima oraz zaczynały się mrozy.
Nadszedł czas, bym przeniósł leżankę znad kanału.
Porywano stamtąd biedaków do odstrzału.
Rozglądałem się na centrum za ciepłym miejscem.
Pewien chłopak, żebrzący przed kościoła wejściem,
Powiedział mi o choince na placu głównym.
Myślałem wtedy, że będę mu za to dłużnym.
Pod ogromnym drzewkiem sypiało wiele dzieci,
Pośród podrzucanych im przez ludzi łakoci.
Udałem się zatem pod choinkę wieczorem
Oraz zostałem tam przyjęty ze spokojem.
Bez problemu znalazło się tam dla mnie miejsce.
Na noc zasłoniliśmy gałęziami wejście.
Ciepłej niż na zewnątrz placu było tu znacznie,
Ale przez ten mróz było i tak zimno strasznie.
Próbowałem się ogrzać zapalniczką moją.
Przed zaśnięciem była ostatnią dobrą wolą.
Mróz zaniknął, a moje myśli odpłynęły.
W moim śnie, dzieci w Londynie bogate były
I to one rządziły Anglią Wiktoriańską.
Obudził mnie wnet gorąc jak w noc świętojańską.
Wokół szalały płomienie. Wyczołgałem się.
Dwaj żandarmi w mundurach aresztowali mnie.
Nikt nie został ranny w pożarze tej choinki,

*Który został wznieciony z mojej zapalniczki.
Stopiona, rano w sądzie, stanowiła dowód.*

Acz jaki, by wzniecać pożar, mogłem mieć powód?!

Przysnąłem nieszczęśliwie z zapalniczką w ręce,

Acz sędzia upierał się przy karze zawzięcie.

Ostatecznie złagodził grzywnę do stu funtów,

Nie tolerując przy tym żadnych moich buntów.

Po rozprawie odwieźli mnie prosto do domu.

Bardzo silny wiatr zwiastował nadejście sztormu.

Matka potłukła garnek na widok żandarmów,

Towarzyszących mi, oraz dokumentów,

Które w ciągu trzech dni płatność nakazywały.

Pieniądze ledwo na leki siostry starczały,

A teraz już na pewno miało ich zabraknąć.

Moja siostra tak bardzo musiała żyć pragnąć,

A tymczasem śmierć dopada ją w swe objęcia.

Od dawna nie chodzi do szkoły na zajęcia.

Matka zaczęła płakać i błagać o litość.

Siostrze nie mogła jednak pomóc matki miłość.

To mnie, a nie siostrę, uznano za winnego...

Starszy żandarm zaproponował coś innego.

„Można obniżyć do pięćdziesięciu – acz batów.

Czy mam złożyć wniosek i zwołać kogoś z katów?”

Przerażała mnie wizja tej decyzji męskiej,

A także proponowanej mi chłosty ciężkiej.

Mogłem ratować siostrę, albo swoją skórę.
Była też opcja odbierająca mi dumę:
Zapłacić grzywnę oraz ukraść leki mogłem,
Ale takiego ryzyka jeszcze nie zmołem.
Niepowodzenie oznaczało śmierć nas obu
I dar dla matki w postaci dziecięcych grobów.
Czując przeogromny żal oraz wielką troskę,
Zgodziłem się więc zamienić grzywnę na chłostę...
Żandarm rzekł, iż przyjadą po mnie w ciągu trzech dni.
Otrzymam chłostę dyskretnie w więziennej celi.

W gorączce przeczekałem te trzy dni nieszczęsne.
W obliczu srogiej kary wydawały się wieczne.
W końcu, o świcie, podjechał po mnie dyliżans.
Jak długi czeka mnie po chłości rekonesans?
Czy w ogóle przeżyję tę krwawą nauczkę?
Przynajmniej uratuję mojej matki córkę.
Przeszło godzinę trwała podróż do więzienia.
Nasłuchałem się innych więźniów przeklinania.
Głównie czekali tam na śmierć za kradzieże.
Czy będą przez ściany słyszeć moje cierpienie?

Czekałem długo na kata i dokumenty.
Każdy z żandarmów wydawał się nieugięty.
W końcu przywitał mnie kat o płaszczu z kapturem
I zabrał do sali, gdzie uraczy mnie bólem.

*Polecono mi zdjąć kurtkę oraz koszulę.
Spytano, czy na pewno karę akceptuję.
Nie miałem wyboru - siostrzyczkę ratowałem.
Ani chwili się nad tym nie zastanawiałem.
Zostałem wysoko za ręce podwieszony,
A w tym czasie kat poszedł po pejcz rozmierzwiony.
Składał się z dziewięciu rzemieni z supelkami.
Typowy na statkach między marynarzami.*

*Poczekaliśmy z karą do równej godziny,
Aż w końcu rozpoczął bicie kat bardzo silny.
Od pierwszego razu darłem się wniebogłosy.
Czułem jak mą skórę tnie każdy supel ostry.
Prócz bólu, czułem krew ściekającą po plecach,
A bat walił i walił, jakby nie miał przestać.
Myślałem, że nigdy nie skończy się ta męka.
Straciłem przytomność, skończyła się udręka.
Jak przez mgłę pamiętam jak leżałem na brzuchu.
Plecy płonęły, a ja modliłem się w duchu.*

*Przeszło tydzień spędziłem w szpitalu więziennym,
Nim w końcu mogłem zacząć chodzić krokiem chwiejnym.
Po święcie Trzech Króli do domu powróciłem.
Objąć siostrę oraz matkę się wysiliłem.
Po latach stwierdzam, że rodzina wyszła z klasą:
Z bliznami na plecach, acz w kieszeni z kasą.*

*Siostrzyczka przestała chorować na suchoty,
A w szkole przestano nas widzieć za miernoty.
Pomału wypełziliśmy z doła społecznego
I przenieśliśmy się do miasta stołecznego.
Razem zawsze czekamy na wypłaty przyjsście,
A blizny przypominają: zawsze jest wyjście.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zewediach, dodano 20.10.2018 20:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.